

Młyn jak z bajki



Młyn wodny z Siołkowic Starych.

Włodzimierz Wójcik

Cóż może być bardziej dla mnie przyjemne niż wspomnianie w te wiosenne roztopy, rozległych srebrnych plam falującego na lekkim wietrze, dojrzewającego żyta. Takie obszary malarskie

istnieją w mojej pamięci, która jest swoistą galerią znakomitych pejzaży. Pejzaży nie namalowanych, ale przecież utrwalonych. Póki żyję, żyją też – te z dawnych lat – żytnie kłosa, złote kłosa pszenicy, kłosa jęczmienia z kruchymi długimi wąsami oraz krótkie łodygi owsa, z drgającymi nerwowo ziarenkami. Pod koniec lata ten człowieczy urobek, po skoszeniu, wieziony był, po młócce, do młyna. Niektórzy ludzie lubią przesypywać z garści do garści złote monety, mnie wystarczyło zanurzać dłonie w ziarnach zboża wypełniającego kosmate szorstkie szare worki. Ciepło płynące z tych szlachetnych ziaren zapowiadało łagodną ciepłotę bochnów wyciąganych z chlebowego pieca opalanego kłocami najszlachetniejszego drewna. Oczywiście, zanim ziarno zamieni się w nasz chleb powszedni, musi przejść bolesny rytuał spotkania z młynem, z szorstkimi dwoma kamieniami, obracającymi się w przeciwnych kierunkach, trącymi zboże, sypiącymi tak oczekiwaną mąkę...

Pojęcie młyna jest stare jak świat, a właściwie jak Biblia. Czytamy w piśmie Świętym: „Młyny boże mielą wolno, skrupulatnie i na miało, a prawda jest jedna i nierozdwajalna”. Maksyma ta zawiera dwie mądrości. Jedna powiada, że każda praca przyniesie owoce, jeśli jest wykonywana rzetelnie, bez szalonego pośpiechu, a w rezultacie dokładnie. Mądrość druga niesie pouczenie, że wcześniej czy później nasze czyny będą sprawiedliwie ocenione przez siły nadrzędne, na przykład boskie. Potrzebna jest tylko cierpliwość. Cierpliwość.

Tego rodzaju spostrzeżenia czyniłem od najwcześniejszych lat dzieciństwa, obserwując monotony rytm pracy koła rzeczno młyńskiego pana Kłapci „na Brzozowicy”. Młyn stał przed skrzyżowaniem ulicy Siemońskiej (idącej z zachodu, z Łagiszy do Dąbrowy Górniczej), z Czarną Przemszą. Dwa brzegi rzeki łączył drewniany most z mocnymi poręczami. Od strony północnej masywnego budynku z bali drewnianych była platforma służąca przyjmowaniu worków z ziarnem. Od zachodniej strony młynarze wydawali mąkę. Od południa cierpliwie obracało się olbrzymie koło młyńskie poruszane wodą Czarnej Przemszy, do której wcześniej wpadała moja „domowa rzeka”, Strumyk Psarski, często nazywany po prostu Psarką. Właśnie to koło uruchamiało napęd mechanizmów młyńskiego.

Spadająca z wysokości, spiętrzona stawidłami woda rozpryskiwała się formując w powietrzu, gdy było słońce – ku mojej i moich rówieśników uciechu – wielobarwne tęcze. Z owego bajecznego „podemłynia” często biegaliśmy rozległymi łąkami pełnymi kwiatków polnych. Wielekroć, po przejściu rzecznej kładki, dostawaliśmy się na wzgórze, gdzie znajduje się będziński cmentarz, gdzie dzisiaj dzieciaki chodzą do swego teatru noszącego imię Dormana. Pamiętałem słowa ojca, że na tym cmentarzu leży pochowana jego matka, a moja babcia Jadwiga. Zmarła prze moim urodzeniem w domu rodziny Przyłuckich, zaledwie sto metrów od „naszego” młyńskiego. Ten dom przez lata był miejscem spotkań rodzinnych. Słynna ulica Polna 2. Tu żył brat

mojego ojca Franek, ożeniony z Sabiną z Przyłuckich. Z ich córkami, Wiesią i Zosią oraz dzieciakami z okolicy bawiliśmy się tuż przed 1939 rokiem, w czasie okupacji i po wojnie. Bezustannie ciągnęło nas do czarodziejskiego młyna.

Stróż całej posiadłości państwa Kłapciów, postukując sękatą laską, obchodził zabudowania i podśpiewywał, ni to sobie, ni to nam, dowcipną piosenkę:

Gdzie żeś ty bywał, czarny baranie?

We młynie, we młynie, mościwy panie.

Cóżeś tam robił, czarny baranie?

Meł mąkę, meł mąkę, mościwy panie.

Cóżeś tam jadał, czarny baranie?

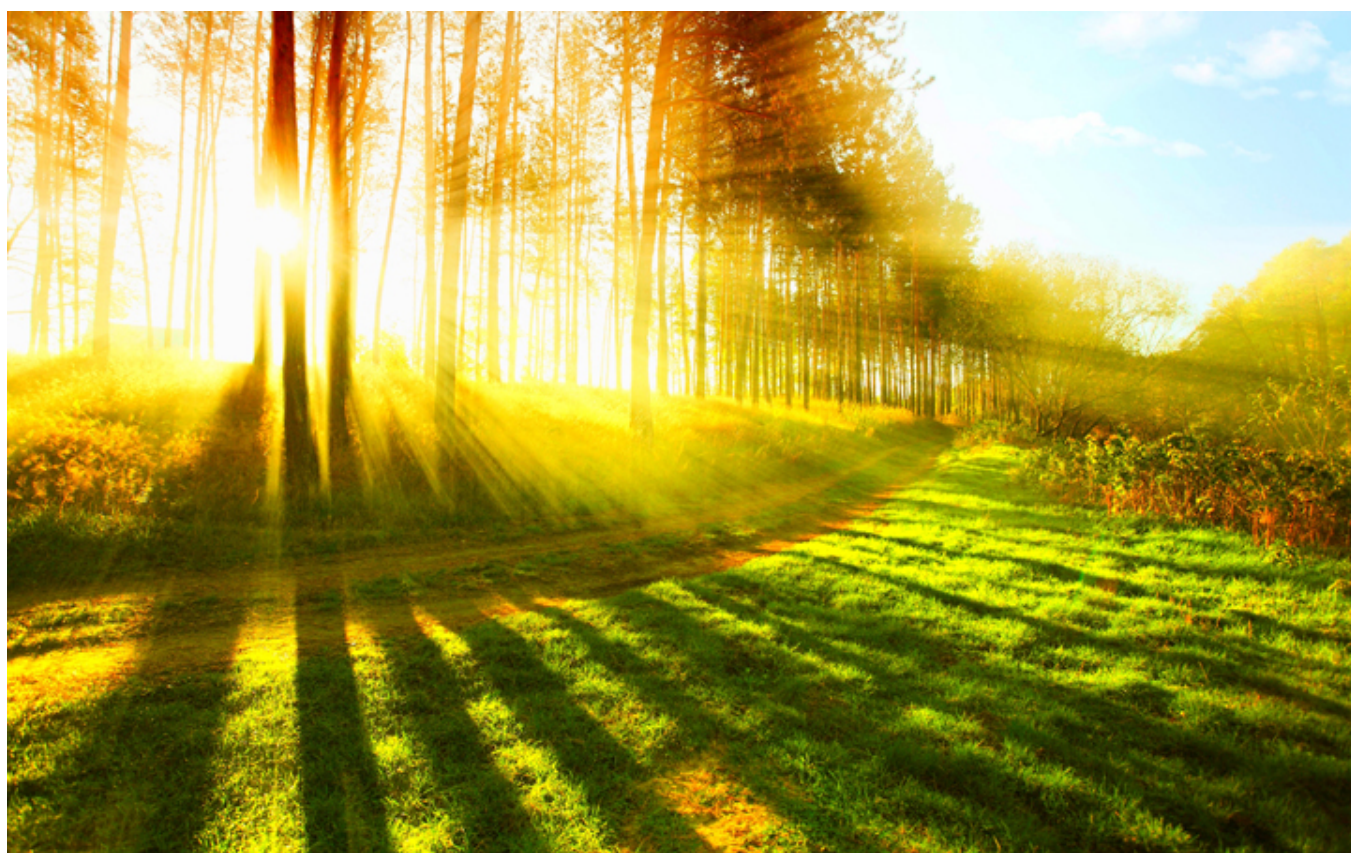
Kluseczki z miseczki, mościwy panie.

Cóżeś tam pijał, czarny baranie?

Miodeczek i mleczko, mościwy panie.

Gdzieżeś uciekał, czarny baranie?

Hopsasa do lasa, mościwy panie.



Kiedy jako dzieciaki schodziliśmy z ulicy Polnej, czyli z dość wysokiej skarpy nad wyrównaną już poniżej młyna tafłę Czarnej Przemszy, która – wbrew nazwie – miała błękitną czystą wodę, zabawom nie było końca. Często, biorąc się za ręce, śpiewaliśmy:

Koło młyńskie za cztery ryńskie; koło nam się połamało, żyto nam się wysypało, a my wszyscy bęc na ziemię. Komu, komu, bo idę do domu?!

Jeden z młynarzy, pan Paweł dogadywał rolnikom przywożącym do zmielenia żyto czy owies: „Masz mało ziarna, posyp je swej kurze, masz dużo ziarna, zanieś je do młyna”. Dla przydomowego drobiu gospodarze zwykle mieli jakieś resztki, czyli po prostu ziarno z plewami. Było oczywiste, że kura czy kurczak znajdzie to, co mu jest potrzebne. Czyste, owiane i wysuszone zboże wieźli – jak mówiono – „na Brzozowicę”.

Na północ od młyna stał dom mieszkalny w olbrzymim sadzie drzew owocowych. Znajdowała się tam także słynna piekarnia Kłapci. W czasie okupacji cały ten majątek przeszedł pod nadzór władz niemieckich. Pan Kłapcia był zaledwie pracownikiem. Nam się to opłacało. Oto bowiem jego syn Staszek podkradał z kantoru kartki na chleb i z łobuzerskim uśmiechem szcudrze nas nimi obdzielał. Wypieki z tej piekarni, wielokroć nazywane przez nas „kłapciokami”, były po prostu niebiańskie. Zwłaszcza te z podsypką.

Tę bajeczną krainę mojego dzieciństwa zmieciono z powierzchni ziemi wówczas, gdy zaczęto budować odkrywkową kopalnię węgla kamiennego. Niestety węgla nie było wiele. Wówczas

nastąpił proces odwrotny. Ogromny dół zaczęto zasypywać odpadami przesyłanymi z Elektrowni „Łagisza”. Dzisiaj z wielu stron przechodzę wokół tej niemal martwej przestrzeni, która dawniej była oazą bujnego i pięknego życia. Od łagiskiego skrzyżowania ulicy Odkrywkowej – dawnej Siemońskiej – z ulicą Pokoju wiodąca ku Siewierzowi i Warszawie – udaję się w kierunku dawnego młyna pana Kłapci. Po niecałym kilometrze zastaję betonową zaporę. Tam za nią jest gruzowisko i czające się niebezpieczeństwo. Okazuje się, że teren jest jeszcze nie uporządkowany. Nie w pełni ożył, a już ktoś ponownie chce go zamordować, planując budowę fabryki asfaltu. Okoliczni mieszkańcy mają tego dość. Ostro protestują. Pomagają im w tym samosiejki brzóz, które coraz śmielej wdzierają się w szarzyznę poranionej ziemi. Minęły dziesięciolecia, a to wszystko, co było źródłem moich i naszych dziecięcych doznań spod koła młyńskiego młyna pana Kłapci, żyje w moim sercu.

Rafał Malczewski,

Henryk Hoenigan – zagadki emigracyjnych dróg.



Rafał Malczewski, akwarela, z kolekcji pani Haliny Babińskiej.

Katarzyna Szrodt

Rafał Malczewski i Henryk Hoenigan (Borowski) – polscy malarze fali wojennej na emigracji w Kanadzie. Nigdy nie spotkali się, choć teoretycznie mogli wziąć udział we wspólnej wystawie, mogli spotkać się przy okazji polonijnych uroczystości, mimo, że Malczewski mieszkał w Montrealu, a Hoenigan osiadł w Toronto. Losy ich tak odmienne, że fascynuje mnie ich porównanie.

Rafał Malczewski przybył do Kanady w 1942 roku na zaproszenie ówczesnego posła RP, Wiktora Podoskiego. Miał pięćdziesiąt lat, był uznanym w Polsce malarzem, znanym nie tylko z powodu wielkiego ojca, Jacka Malczewskiego, ale sam wyrobił sobie zasłużoną markę malarza gór i twórcy magicznego realizmu w serii obrazów poświęconych stacyjkom kolejowym na Śląsku. Dzięki wstawiennictwu posła Podoskiego, Malczewski otrzymał zamówienie z *Canadian National Railways* i *Pacific National Railways*. W ramach trzyletniego kontraktu, w latach 1943-1946 artysta podróżował i malował kanadyjskie pejzaże oraz stacyjki kolejowe. Prace te ozdobiły przedziały kolejowe oraz weszły do kolekcji *Pacific National Railways*. W ramach kontraktu PNR zobowiązało się do zorganizowania Malczewskiemu indywidualnych wystaw w Ottawie, Toronto, Montrealu, Vancouver i Winnipegu. Rok 1944 przyniósł Malczewskiemu wystawę indywidualną w Ottawie, zorganizowaną przez ambasadę polską oraz pokaz prac w *Concoran Gallery* w Waszyngtonie. W 1945 roku artysta wziął udział w zbiorowej

wystawie *Canadian Art* w *Grand Central Gallery* w Nowym Yorku, gdzie spotkał się z Janem Lechoniem, z którym pozostał do końca w bliskich kontaktach. Nowy York wydał się Malczewskiemu lepszym miejscem niż Montreal, więc wyjechał tam w 1950 roku, ale wrócił do Kanady po kilku miesiącach. Artysta był w złym stanie nerwowym, męczyły go nastroje depresyjne. W 1953 roku Jan Lechoń zorganizował w Polskim Instytucie Naukowym w Nowym Yorku wieczór przyjaźni dla Rafała Malczewskiego, a uzyskane pieniądze miały podreperować budżet artysty. Malczewski coraz więcej pisał: felietony do londyńskich „Wiadomości”, felietony do Radia Wolna Europa, teksty wspomnieniowe do gazet polonijnych, farsę na Polonię „Piwo w proszku”.

W 1950 roku do Kanady dociera Henryk Hoenigan z obowiązkiem trzyletniej pracy na farmie, gdyż nikt nie sponsorował jego emigracji. Artysta ma trzydzieści trzy lata, w 1938 roku ukończył studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych u Wojciecha Weissa, we wrześniu 1939 roku został zesłany na Syberię, z której wydostał się na Bliski Wschód wraz z armią Andersa. W latach 1945- 1949 Hoenigan mieszkał w Izraelu, z którego przeniósł się na rok do Paryża. Ten paryski rok odbija się bardzo znacząco na stylu artysty, dopełni jego edukację artystyczną, czyniąc z artysty w pełni świadomego swego talentu twórcę. Po zakończeniu kontraktu Hoenigan osiadł w Toronto i powoli wszedł w życie artystyczne, biorąc udział w

polonijnych wystawach. Pierwszą wystawą kanadyjską był *One-men show* w *Eglinton Gallery* w 1955 roku. Na początku lat 60. twórczość Hoenigana jest już rozpoznawana. Polonijny „Związkowiec”, w artykule, „Wędrówka malarska Henryka Hoenigana”, pisał:

Przed dwoma laty zwróciliśmy uwagę na Henryka Hoenigana i jego obraz „Krajobraz polski”, pokazany na wystawie w „Four Seasons Hotel”. Obecna wystawa prezentuje dzieła sięgające pobytu na Bliskim Wschodzie: Egipt, Palestyna, pobytu w Paryżu i ostatnie prace kanadyjskie. Hoenigan jest malarzem refleksyjnym. Operuje najczęściej zimnymi barwami. Widoczne są w jego malarstwie wpływy malarstwa postimpresjonistycznego.



Henryk Hoenigan, Na wystawie, z kolekcji państwa Danuty i Andrzeja Pawlowskich ofiarowanej Konsulatowi Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto.

Pod koniec lat 50. Rafał Malczewski otrzymał propozycję powrotu do kraju. Muzeum Narodowe w Warszawie planowało przygotowanie wystawy retrospektywnej jego prac, artysta miał otrzymać mieszkanie i pensję, jeśli zamieszka Polsce. Koszty podróży do ojczyzny, w 1959 roku, pokrył rząd polski. Malczewski, z trudem poruszający się po przebytym udarze mózgu, czuł się wyobcowany w polskiej rzeczywistości, źle ocenił

swoje obrazy i nie zgodził się na wystawę.

Widziałem 37 olejnych obrazów, około metrowej wielkości każdy, niewidzianych od dwudziestu lat. Z wyjątkiem kilku, pozostałe, cokolwiek by mówić, były po prostu kiczami, dużego formatu, ale kiczami

- napisał malarz we wspomnieniu „Podróż kulawca do Polski”. Pod koniec 1959 roku Malczewski z żoną powrócili do Montrealu - do trudnego losu emigrantów bez własnego miejsca, do kłopotów finansowych i zależności od innych. Artysta w Kanadzie malował przede wszystkim akwarele, które cieszyły się uznaniem, ale nie przynosiły artyście wystarczających dochodów. W 1962 roku „Kultura paryska” przyznała artyście doroczną nagrodę za twórczość plastyczną, co na chwilę podreperowało jego budżet. W polonijnym środowisku, swoje prace Malczewski sprzedawał po kilka dolarów, a dziś zdobią polskie domy w Montrealu wisząc na czołowym miejscu, będąc dumą właścicieli. W 1964 roku odbyła się wystawa artysty w prestiżowej *Dominion Gallery* w Montrealu, po której krytyk z „The Gazette” napisał:

W większości akwarele - poetyckie i delikatne ze śniegiem lub w kolorach jesieni, prezentują kanadyjskie pejzaże i góry. Namalowane są znakomicie.

Po wystawie Henryka Hoenigana w 1964 roku, w Toronto, opiniotwórczy krytyk sztuki z „Globe and Mail” napisał:

Wystawa odznacza się zadziwiającą i atrakcyjną nierównością. Dzieje się to dzięki kontrastowi pomiędzy ostatnimi dziełami poetycznymi, a pracami z lat 40., ostrymi, pełnymi charakteru. Widać w dziełach, że przeżycia wojenne artysty zostały przetłumaczone na język malarstwa.

Stonowana, postimpresjonistyczna paleta Hoenigana, w późniejszym okresie ewoluowała w stronę fowizmu – ostrych kolorów, uproszczeń, przez pewien czas artysta mierzył się również z abstrakcją. Tematem przewodnim Hoenigana była relacja między kobietą i mężczyzną, jak również pejzaż kanadyjski. Kanadyjska *Art Gallery of Cobourg* od początku lat 70. reprezentowała Hoenigana w środowisku kanadyjskim. W 1975 roku artysta otrzymał stypendium *The State University of New York* oraz finansowe wyróżnienie *Ontario Arts Council*. Ci, którzy jeszcze pamiętają Henryka Hoenigana, jak Kazimierz Głaz, wspominają go jako pełnego serdeczności i łagodności człowieka, ujmującego i uroczego. Mnie zafascynowała jego wytrwałość, konsekwencja i cierpliwość w realizowaniu misji artysty. Trudny początek nie zapowiadał tak znakomitego rozwoju. Wielu innych artystów przepadło z powodu konieczności zarabiania na życie i w rozdrobnieniu w

codzienności. Hoenigan pracował jako sprzedawca w aptece, ale potrafił ocalić siebie i swój talent. Zwyciężył w trudnej walce emigranta o bycie sobą.



Rafał Malczewski, akwarela, z kolekcji pani Haliny Babińskiej.

W jednym z listów do Rafała Malczewskiego Jan Lechoń napisał:

Gdyby choć część energii, którą zużywa pan na zadręczanie się, mógł pan przemienić na twórczość, byłoby to z wielkim pożytkiem.

Malczewski miał znakomity start w Kanadzie, od razu miał wystawy i zamówienia na prace dzięki kontraktowi linii kolejowych. Opiniotwórczy krytyk sztuki z „Globe and Mail” napisał:

Wystawa odznacza się zadziwiającą i atrakcyjną nierównością. Dzieje się to dzięki kontrastowi pomiędzy ostatnimi dziełami poetycznymi a pracami z lat 40., ostrymi, pełnymi charakteru. Widać w dziełach, że przeżycia wojenne artysty zostały przetłumaczone na język malarstwa.

Nie mógł znaleźć jednak dla siebie miejsca, można powiedzieć, że nie wykorzystał sprzyjającej sytuacji. Zabrakło mu zdrowia, energii, chęci, by zawalczyć o swoje ocalone z wojennej pożogi życie raz jeszcze.

Dwie drogi artystów-emigrantów – jedna pnąca się pod górę, zakończona zdobyciem szczytu, druga powoli opadająca w dół. Tajemnica kryjąca się za tym, jak za każdym życiem.



Henryk Hoenigan, Prelude to Springtime, mixed media, 56 cm x 76,5 cm.

Zaufanie



Florian Śmieja

Dom noclegowy jednej z polskich organizacji w Londynie nazywał się ładnie: hospicjum. Był położony przy szykownym skwerze niedaleko stacji kolejki podziemnej linii Piccadilly. Mieścił się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Budynek był raczej szczupły w monumentalnym stylu całego sąsiedztwa.

Hospicjum dawało nie tylko znakomity, centralny adres pocztowy, ale oferowało ponadto studentom polskim niedrogie pokoje. Wprawdzie pomieszczenia były dwu i trzyosobowe, ale przy odrobinie cierpliwości i szczęściu można było wynająć jeden

z trzech jednoosobowych pokoików.

Jeden z nich, pokój skromny, bez żadnych luksusów, umeblowany raczej po spartańsku zajmował Adam. Dostał go po Zupce, jego wieloletnim mieszkańcu. Zupka był statecznym, sympatycznym blondynem z wypiekami na uśmiechniętej stale twarzy. Studia zaczął w Bolonii po demobilizacji z II Korpusu. Tam też zakochał się we włoskiej studentce, z którą utrzymywał żywą korespondencję.

Ukończywszy studia chemii w Londynie, zaczął rozglądać się za pracą i pilnie wertował oferty ogłaszane w angielskiej prasie. Posyłał swoje zainteresowanie piśmiennie do firm poszukujących chemików i cierpliwie czekał na wezwanie na kwalifikacyjną rozmowę.

Kiedy wreszcie przyszło z Midlandów zaproszenie z wielkiej cementowni, Zupka błyskawicznie zadziałał. Najpierw pożyczył pieniędzy, by kupić sobie elegancki garnitur. Chciał zrobić jak najlepsze wrażenie przy spotkaniu z przyszłym chlebodawcą. Pojechał pociągiem pierwszą klasą na znak, że siebie ceni.

W czasie rozmowy szerzej opowiedział o swoim życiu, także o zsyłce do Związku Sowieckiego. Wspomniał o zapamiętanej z tamtych czasów cementowni. Okazało się, że stary Anglik, który z nim rozmawiał, budował ją przed wojną dla firmy Portland.

W końcu padło pytanie o płacę. Zupka śmiało zażądał stosunkowo wysokiego wynagrodzenia. Dyrektor ze zdziwieniem zauważył, że petent chciał więcej od innych kandydatów nie mając żadnego doświadczenia, wszak starał się o pierwszą pracę. Elegancki Zupka odpowiedział spokojnie, że wprawdzie szukał pierwszej posady, ale myślał o stałej pozycji, o rzetelnej pracy, a nie o tymczasowym zatrudnieniu. Dostał stanowisko, o które się ubiegał, sprowadził wnet narzeczoną do Anglii, poślubił ją i oboje wyjechali na prowincję.

Jego pokój wziął Adam. Nie wiem, czy gdzieś studiował, utrzymywał się z dorywczych prac. To faszerował w fabryce pierogi, to zatrudniał się przy wyrobie lodów. Ponieważ od dłuższego już czasu zalegał z płaceniem komornego, zarządca domu inżynier Krótki, o rzęsach jak tropikalna ryba, po wielu ostrzeżeniach, wręczył mu wymówienie.

Za eksmitowanym nikt się nie ujął. Jedni go wcale nie znali, drudzy, znając, nie widzieli sensu w interweniowaniu. Nie pamiętam, czy wiedział o sprawie ks. Wiśniewski, kapelan akademicki, który mieszkał na parterze. Był osobą bystrą i lubianą, spotykała się u niego tzw. złota młodzież, co nie chroniło go bynajmniej od spontanicznych sztubackich wybryków psotnych mieszkańców hospicjum, którzy np. włączali odkurzacza do kontaktu obok księżych drzwi na parterze, a w nocy czy nad ranem przekręcali na piętrze kontakt, który uruchamiał głośny

sprzęt na dole.

Adama bliżej nie znałem, ale jego sprawa mnie dotknęła, sumienie obudził jego los. Współczułem mu. Nie rozumiałem potrzeby egzekwowania rygorystycznych przepisów, ścisłego szanowania reguł, wagi ostrzeżenia. Wydało mi się godniejsze błędzenie po stronie łaskawości i tolerancji. Wierzyłem na słowo i stanąłem przy boku ofiary nie interesując się bliżej przesłankami, którymi kierowali się zarządzający domem. Sam fakt, że instytucja nie była ściśle komercyjna, dodawał mi otuchy, aby zaapelować do sumień i zażądać cofnięcia młodemu człowiekowi nakazu opuszczenia domu. Wydawało mi się, że wezwanie do zaufania wbrew przesłankom i doświadczeniu, do ryzykowania raz jeszcze, było obowiązkiem przełożonych, że strata finansowa nie była współmierna z surowym potraktowaniem. Musiałem wtedy wyglądać jak zapalony misjonarz lub fanatyczny rzecznik spraw beznadziejnych.

Adam przez cały czas, kiedy ważyły się jego losy, zachowywał się nieporadnie, a przy tym trochę się jąkał, każąc mi wierzyć, że wstawiam się za człowiekiem, który sobie sam nie potrafi pomóc, że brakuje mu swobody, by mógł jasno wyłuszczyć źródła niepowodzenia. Moja elokwencja, czy powstała z powodu mojego wystąpienia *ambaras*, sprawiły, że nakaz opuszczenia mieszkania, odwołano. Dzięki mnie dano dłużnikowi jeszcze jedną szansę.

Zaraz po zapadnięciu przychylnej decyzji Adam przyszedł do mojego pokoju i długo i wylewnie dziękował mi za ingerencję i pomoc w jego sprawie. Uścisnąłem mu rękę. Pewnie czułem krzepiące zadowolenie ze swojego zachowania, z przeciwstawienia się opinii kierownictwa, z posłużenia się moralnym argumentem, ideologicznym szantażem, kiedy nic nie skutkowało.

Adam, ośmielony trochę, zaczął rozglądać się po moim pokoju. Spojrzał na stół, na półki z książkami. Zobaczył na wieszaku mój podniszczony letni płaszcz wymagający pilnego czyszczenia. Znam pralnię – odezwał się – Przyniosę wyczyszczony.

Nie oponowałem, aczkolwiek nie spodziewałem się żadnej wdzięczności oprócz słów podziękowania. Wyszedł z moim płaszczem, przepadł i więcej się w hospicjum nie pokazał. Płaszcz też już nigdy nie zobaczyłem, choć strata materialna była minimalna i nie na tyle dotkliwa, by zachwiać skutecznie moim zaufaniem do drugiego człowieka.

Z dziejów rodu Tyszkiewiczów. Wielkanoc na Żmudzi.

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze. W środku, oszklony Ogród Zimowy z egzotycznymi roślinami.

Na Żmudzi życie toczyło się ustalonym rytmem, od sezonu

letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali talerze. Dopiero, gdy wszyscy byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie.

„Święcone” trwało dwa tygodnie. Przez pierwsze dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosółu, potem można już było jeść wszystko. Szyunki, pieczeń cielęca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta. Olbrzymi „baumkuchen” miał metr wysokości. Do tego

dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktylowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa... Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na co dzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwintna potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.

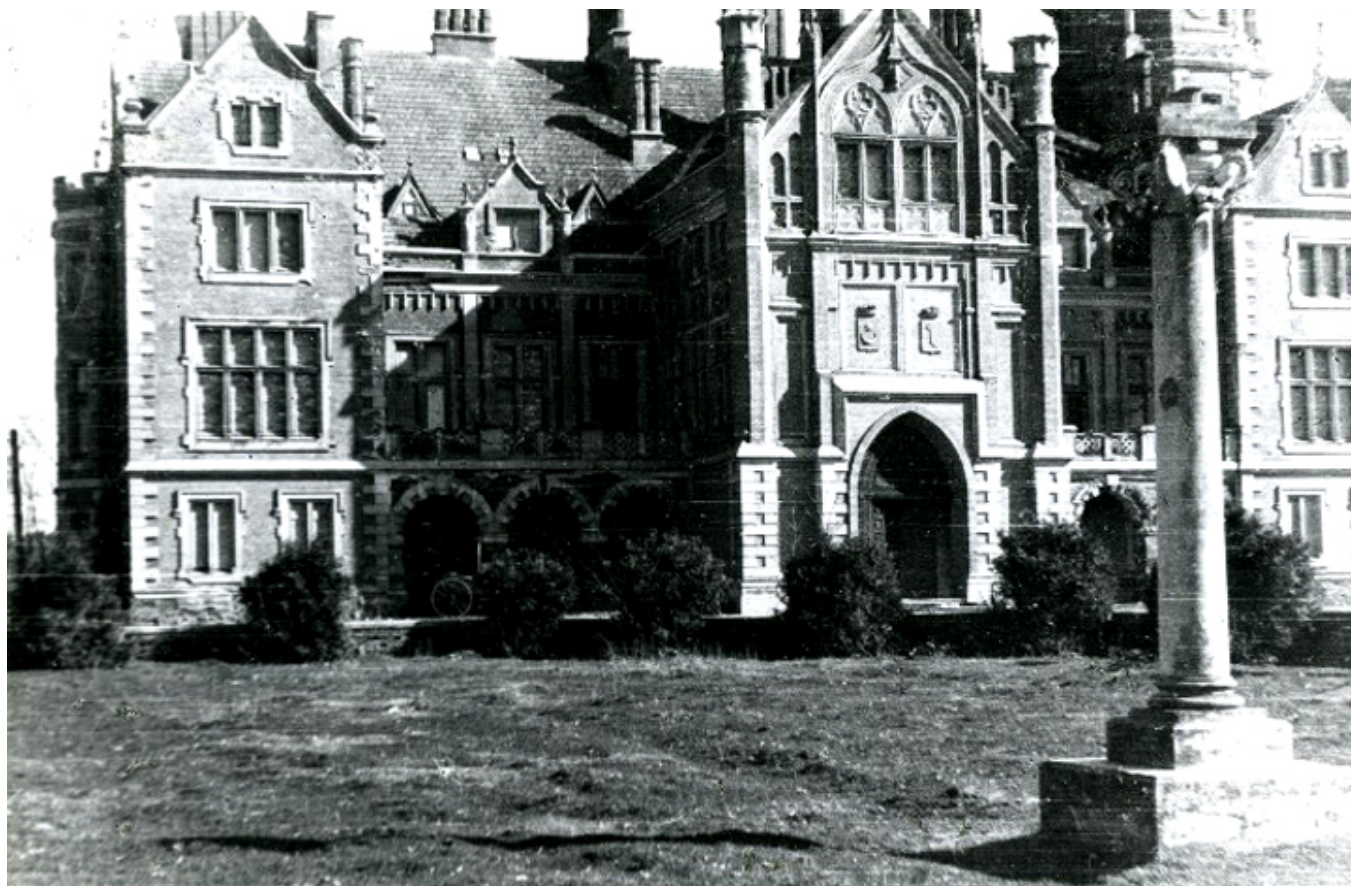


Ogród Zimowy przy pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Józef hr Tyszkiewicz (1835-1891), syn Józefa i Anny z Zabiełłów urodził się, podobnie jak starsi bracia, w Łohojsku, rozległych dobrach na Białorusi. Wcześnie stracił rodziców, prawie ich nie pamiętał. Pewnie po dziadku Michale, pułkowniku, odziedziczył bujną fantazję, temperament czasów saskich i szeroki gest, a że już od najmłodszych lat zdradzał zamiłowanie do służby wojskowej, więc oddano go do Korpusu Paziów w Petersburgu. Gdy ukończył naukę przydzielony został do Szumskiego Pułku Huzarów, jako adiutant generał-gubernatorów Bibikowa, a potem Nazimowa. Po ojcu otrzymał dużą fortunę, co pozwoliło mu realizować marzenia, oddawać się wielkiej miłości do koni, no i prowadzić niezwykle barwne i bujne, jak na owe czasy, życie. Odziedziczył dobra Izabelin w powiecie oszmańsko-wilejskim, Kojrany, Guszlawki, Połagę na Żmudzi, która była jeszcze wówczas mało odwiedzaną wioską rybacką i inne wielkie latyfundia. Poza tym on i jego bracia, otrzymali od stryja Jana, I ordynata birżańskiego, po jednym milionie rubli, co było sumą nie małą. W roku 1855, od dwóch córek marszałka Dąbrowskiego, młody hrabia kupił majątek Landwarowo, położony niedaleko Wilna.

Po zainstalowaniu się w zamczku, w swojej nowej siedzibie, mógł hr Józef swobodnie prowadzić ruchliwe i bardzo towarzyskie życie, między Landwarowem, a Wilnem, gdzie

wzywały go obowiązki służbowe. Jako wysokiej rangi oficer skorzystał z przydziału dwudziestu pięciu żołnierzy kawalerzystów – Kozaków. Towarzyszyli mu oni we wszystkich wyprawach, podróżach i przygodach wynikających z bujnego temperamentu, fantazji i pomysłowości. Pozwolił im zabrać na Litwę swoje żony, w wyniku czego miał w Lanwarowie jeszcze dwadzieścia pięć dorodnych Kozaczek, co tworzyło już niemały zastęp oddanych mu ludzi, zdolnych przyjść z pomocą w różnych sytuacjach. Nie raz przecież musiał stoczyć różne większe i mniejsze bitwy, jak chociażby z dwudziestoma bandytami pod Górą Ponarską. Jak to oficerowie w wojsku, co jakiś czas bijatyka, a co jakiś pijatyka. Raz tak się upił, że służba znalazła go leżącego w rynsztoku i odprowadziła do domu. Bardzo było mu potem wstyd, złożył więc mocne postanowienie, że do końca życia do ust kieliszka nie weźmie. Innym razem w Landwarowie, dla zabawy zorganizował z wielkim rozmachem popisy przed gośćmi tzw. „dżigitowkę” czyli skakanie przez bryczki. Czyżby czasy i fantazja Kmicica na Litwie wcale się nie skończyły?



Pałac w Landwarowie, fot. S. Łukasiewicz, 1939 r.

Szeroko komentowanym wybrykiem młodego adiutanta gubernatora, była słynna sprawa z końmi. Chcąc sobie ułożyć życie w Wilnie, kupił w Petersburgu trójkę wspaniałych „rysaków”, którymi jeździł po mieście. Cały ten ekwipaż wzbudzał nie lada sensację. Nazimow nie był z tego powodu zadowolony i nakazał Tyszkiewiczowi konie odesłać na wieś. Z braku koni młody hrabia z nie lada fantazją, najął... trzech brodatych, rośłych mężczyzn i sownie im zapłacił. Po czym zaprzągnął ich w trójkę do san. Jednego z rudą brodą w środku, dwóch z czarnymi brodami po bokach. I tak jeździł po Wilnie. Wtedy nie skończyło się na lekkim upomnieniu, tylko już większej naganie.

Generał-gubernator Nazimow wyraźnie lubił Tyszkiewicza. W duchu to nawet podobała mu się ta polska fantazja. Przymykał więc oko na wiele rzeczy i starał się go chronić. Tak było w przypadku sprawy z zaprzęgiem. Hr Józef, jako wojskowy, posiadał w Landwarowie zaprzęg rosyjski. Niezmiernie raziło to uczucia narodowe jego młodej narzeczonej, wielkiej patriotki. Chcąc więc jej zaimponować, wymyślił niespodziankę. Kazał wyszykować zaprzęg krakowski. Przebrał furmana i służącego na koźle w strój krakowski i pojechał po narzeczoną. Podczas, kiedy zaprzęg czekał na ulicy, policja zobaczyła zakazane przecież polskie stroje, służący i furman zostali więc aresztowani i wychłostani. Kiedy hr Tyszkiewicz to zobaczył, wściekłość jego nie miała granic. Jakim prawem karana jest służba. Ja to zrobiłem, to był mój pomysł i moje ryzyko i tylko ja powinienem ponieść konsekwencje. Pobiegnął szybko do Nazimowa, zerwał odznaki wojskowe i wraz ze szpadą rzucił mu pod nogi. Oznajmił, że pod takim rządem to on nie ma zamiaru służyć, po czym wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Przez kilka dni czekał, co z tego wyniknie. Wiedział, że grozi mu sąd wojskowy i kara śmierci. Nazimow jednak niczego nie potwierdził. Nawet, gdy został wezwany do Petersburga, bo i tam wieść doszła o wyczynie Tyszkiewicza, kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, twierdząc, że gdyby taka rzecz faktycznie się zdarzyła, to adiutant już byłby rozstrzelany.



Józef Tyszkiewicz i Zofia z Horwattów, fot. Wikimedia Commons.

Ponieważ nie zanosiło się, że młody Tyszkiewicz sam z siebie się ustatkuje, rodzina, stryjowie i starsi bracia postanowili go ożenić. Zaczęto szukać dla niego odpowiedniej rodziny, mającej aktualnie córkę na wydaniu. Wybór padł na Horwattów, dość

blisko spokrewnionych z Tyszkiewiczami. Wybrano odpowiednią porę i wysłano hr Józefa do pięknie położonego na Polesiu nad Prypecią Barbarowa. Skierowano go do najmłodszej Zofii, *bardzo miłej, choć wcale nieładnej panny*. Młody hrabia był przerażony. Jak dotąd na nieładne panny uwagi nie zwracał. Długo się wahał. Rodzina była więc wyrozumiała i dała młodemu trochę czasu, żeby się poznali. Zofia miała tak pogodne usposobienie i tyle dobroci, że w końcu Tyszkiewicz dał się namówić. Ślub odbył się w 1861 roku w Barbarowie w pięknym i ogromnym pałacu, urządzonym z wielkim przepychem i gustem. Po wszystkich niezwykle wzniosłych uroczystościach, młodzi udali się do Landwarowa, a potem do Paryża.

Józef wychowany bez rodziców, uczący się w szkołach rosyjskich, nie był aż tak negatywnie nastawiony do zaborców, co teściowie. Miał przyjaciół wśród Rosjan, z którymi dorastał, służył w rosyjskim wojsku. Żona natomiast z domu wyniosła wielki patriotyzm i pragnęła stworzyć polską, katolicką rodzinę. Raziło ją bardzo, że mąż bez problemu nosi rosyjski mundur i jeździ *trójką z kuczerem po rosyjsku ubranym*. Miała jednak nadzieję, że są to tylko powierzchowne przyzwyczajenia i z czasem, pod jej wpływem się zmienią. Miała rację, hr Tyszkiewicz zdecydował się wystąpić z wojska. Dał też znaczną sumę pieniędzy na zakup broni dla powstańców, mimo tego, że był zdecydowanie przeciwny niepotrzebnemu rozlewowi krwi i represjom. I jak przewidywała rodzina po ślubie się ustatkował.



Pałac w Landwarowie od frontu, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Tyszkiewiczowie zamieszkali najpierw w Landwarowie. Ze względu na bliskość węzła kolejowego rezydencja oprócz „zwykłych” gości, rodziny i sąsiadów, przeżywała istne naloty krewnych, kuzynów i dalszych znajomych. Pociągi jeździły wówczas rzadko, czasami i tydzień trzeba było czekać na przesiadkę. Jechano więc do Tyszkiewiczów, gdzie czas szybko płynął i z tygodnia robił się nie wiadomo kiedy miesiąc. Nic więc dziwnego, że po 10 latach takiego życia hr Zofia, mimo staropolskiej gościnności, miała już serdecznie dosyć tych nieustających i nie kończących się wizyt. Postanowiono przenieść swoją siedzibę, jak najdalej od węzła kolejowego. Fantazja hr

Józefa pognęła od razu daleko, za morze. Rozważany był wyjazd za granicę na stałe. Złożyło się na to wiele przyczyn, a przede wszystkim rosyjskie represje po powstaniu styczniowym i ciągle nowe prześladowania w Wilnie. Donoszono, że wyszedł zakaz mówienia po polsku na ulicy i w miejscach publicznych. Podobno córka generał-gubernatora Kachanowa zadenuncjowała krawcową, ponieważ do pomocnicy odezwała się po polsku. Hrabia Tyszkiewicz stwierdził więc, że sprzeda wszystkie majątki, zabierze dzieci ze szkół i całą rodziną wyemigrują.

Ja wiem, że strasznie będę tęsknić za krajem – mówił – ale moje dzieci będą tam już wychowane, inaczej będą się czuły, nie będą pariasami, tak jak tutaj. Moim obowiązkiem jest poświęcić się dla nich.

Zaczął się studiowanie map, dyktowanie listów dla zebrania informacji. Hr Józef starał się dobrać kraj o podobnej przyrodzie i warunkach klimatycznych. Wybór padł na Kanadę. Hr Zofia przeciwna była wyjazdowi. Uważała, że żadne prześladowania ich nie zrusyfikują, ani nie zgermanizują, a obowiązkiem każdego Polaka jest trzymać się swojej ziemi. Po dyskusjach, głębszym namyśle i namowach żony, hr Józef zrezygnował z wyjazdu do Kanady. W 1870 roku kupił od generał-gubernatora wileńskiego, hr Zubowa majątek Kretynga, położony niedaleko odziedziczonej Połangi i tam postanowiono przenieść swoją główną siedzibę.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Źródło:

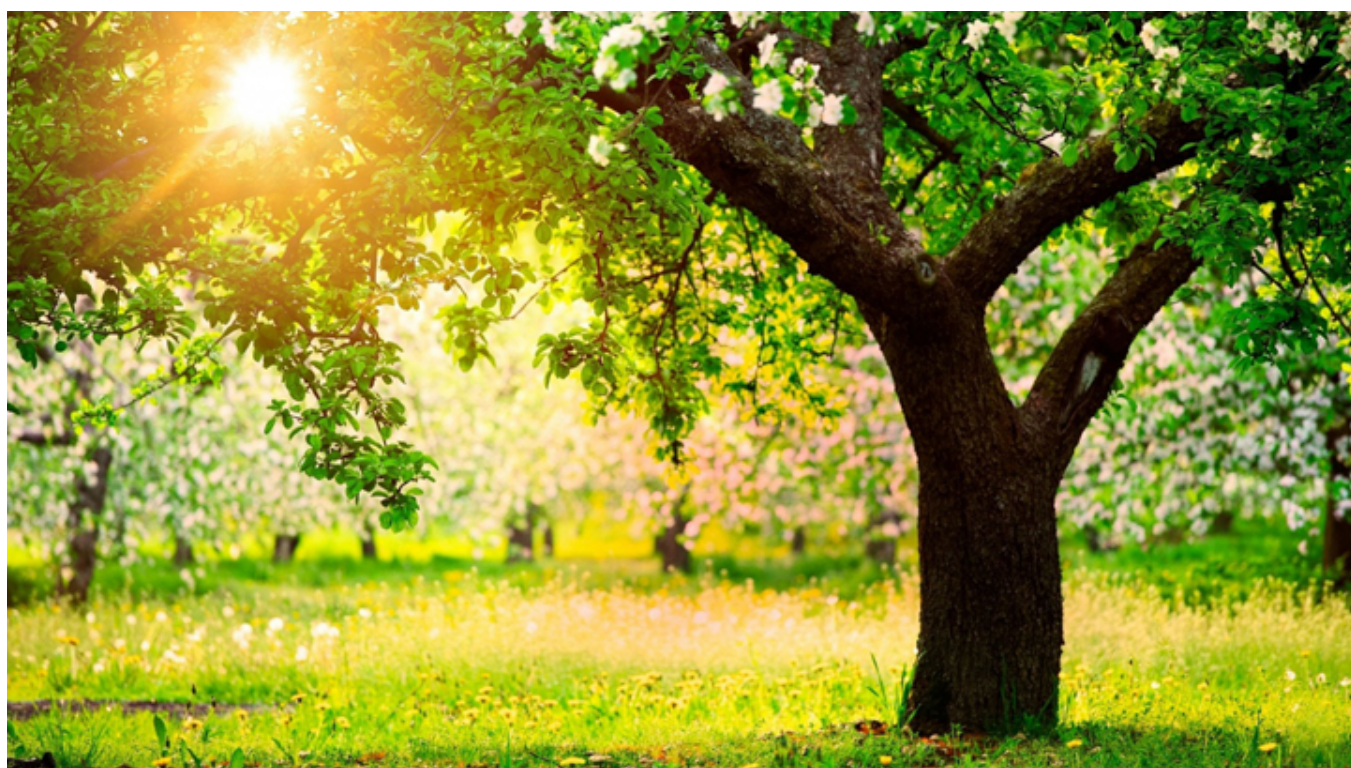
Helena z Tyszkiewiczów Ostrowska, Wspomnienia, maszynopis, arch. Hanny i Adama Tyszkiewiczów, Los Angeles.

O rodzinie Tyszkiewiczów na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/choinka-w-zimowym-ogrodzie/>

<http://www.cultureave.com/nie-ma-nic-wiecznego-na-tej-ziemi/>

Wielkanoc. Korzenie tradycji.



Włodzimierz Wójcik

Minęła Niedziela Palmowa. Przed nami Święta Wielkanocne, będące najpierw znakiem bezgranicznego cierpienia, a potem symbolem Zmartwychwstania, odradzania się, tryumfu życia nad śmiercią. Okoliczności sprzyjają więc refleksji i wspomnieniom. Ten klimat przedświąteczny łączy w zasadzie wszystkich – zarówno głęboko wierzących, jak też i tych, którzy są mniej aktywni w odbywaniu praktyk religijnych. Tradycja – wspaniałe spoiwo łączące naród – odgrywa i w tej dziedzinie istotną rolę.

Wielkanoc znaczone jest wiosenną aktywnością przyrody; pojawiają się złociste mlecze, na łąkach pękate główki żółtych kaczeńców; na miedzach, w parkach i w lasach pęcznieją wierzbowe kotki, które – wraz z gałązkami – są przecież swoistym ekwiwalentem południowych palm. To wiosenne święto kojarzy się także z nieprzebraną gamą zapachów płynących z gospodarstw domowych. W okresie Wielkiego Postu mięs nie jadano, ale pracowicie i niezwykle precyzyjnie przygotowywano na same święta wyroby wędliniarskie. W sadach przydomowych godzinami dymiły wędzarnie, w których palono drewnem drzew owocowych, aby kiełbasy czy szynki cudownie i apetycznie pachniały i miały złocisto-brązowy kolor. Tej zasady pilnowano jak oka w głowie. Pracowały – usytuowane przeważnie w sieniach – chlebowe piece, którymi zarządzały zwykle babcie – fenomenalne znawczynie procesu najpierw tak zwanego „zarabiania”, a potem wypiekania. Zapachy idące z pieca chlebowego, unoszące się nad podwórkami, nawet nad łąkami,

nie mogą być zapomniane. Nie sposób pomyśleć o Wielkanocy bez tradycyjnych bab różnego kształtu, koloru, smaku. Baby wielkanocne – to prawdziwy rarytas. I słynne mazurki. Wielokolorowe, formowane w pomysłowe wzory pisanki; ze łzami tarte laski chrzanu z domowego ogrodu, dziesiątki innych łakoci, bez których nie można było się wybrać z koszyczkiem wiklinowym do kościoła... O tych wszystkich doznaniach dzieciństwa i młodości – obrazach, zapachach, smakach – myślę dzisiaj, w świecie już nieco zurbanizowanym i zunifikowanym, poddanym – co jest zrozumiałe – naturalnym przeobrażeniom. Myślę też o tych minionych już latach, kiedy to dawno, w klimacie przedświątecznych krzątania, wraz z ojcem odwiedzałem rodzinę i przyjaciół wędrując – na zasadzie „wpadnięcia na chwilę” po jakiś drobiazg – po Łagiszy, Będzinie, Dąbrowie Górniczej, Sosnowcu, Grodźcu, czy Czeladzi. Dziś ten obszar nazywam za Broniewskim „najbliższą Ojczyzną”. W czasie tych krótkich wizyt prowadziło się rodzinne negocjacje. Trzeba było przecież wyraźnie ustalić, u kogo gościmy się w pierwszy dzień świąt, u kogo zaś w dzień drugi, przebiegający zwykle pod znakiem śmigusu... W Wielką Niedzielę spędzało się zazwyczaj czas z rodziną najbliższą. To była pewna zasada. W gronie rodziców, dziadków, cioć i wujów zasiadało się do stołów, które kusiły wieloma barwami, smakami i zapachami. Tradycyjne jajka były najważniejsze, gdyż one właśnie stanowiły naturalną przyczynę składania sobie życzeń. Dzielenie się święconym jajkiem, barwinek na lnianym obrusie, pierwsze kwiaty wiosny w

przezroczystych wysokich wazonikach, lukrowane baranki – to wszystko wraca we wspomnieniu jak żywe...

W lany poniedziałek rygory już nie istniały. Dorośli zwykle mieli swoje sprawy, dzieciaki raczej hasały do woli, cieszyły się wiosną, swobodą i czekały na taką pogodę, aby jak najszybciej móc biegać po łące „na bosaka”. Przypominam sobie śmigusówki – wąskie i wysokie butelki z pachnącą wodą kolońską... Byle czym w zasadzie nikogo nie kropiono.

Wiadra z wodą ze studni czy strumienia wchodziły oczywiście w grę. Chłopcy polewali zaprzyjaźnione dziewczęta, swoje rówieśnice, w klimacie radości i przyjaźni. Nie do pomyslenia było jednak atakowanie wodą przygodnych przechodniów ubranych wizytowo. Nie pisane nigdzie normy postępowania ściśle obowiązywały. Może do tych zasad warto byłoby wrócić. Radosny żywioł z pewną elegancją zachowania się można przecież całkiem łatwo pogodzić...

Każdy z nas, kto we wspomnieniach dzieciństwa i młodości odnajduje – w momencie refleksji i skupienia – tego rodzaju obrazy, a więc jest wyposażony w swego rodzaju zasób tradycji, może się uważać za człowieka bogatego. Wówczas dobrze wie, skąd pochodzi, z jakich korzeni wyrasta. To, co w tej tradycji wspólne dla wszystkich Polaków – łączy nas ze sobą. Zaś to, co jest różne, a więc charakterystyczne dla jakiegoś regionu

wyłącznie, wzbogaca wszystkich, czyni życie barwniejszym i ciekawszym. Z posagiem tradycji łatwiej jest iść ku przyszłym dniom i latom. Łatwiej też znosić przeciwności losu... A przecież takie przeciwności są także naturalnym składnikiem kondycji ludzkiej... Nic na to się nie poradzi. Warto jedynie przeczytać cztery wersy utworu Jana Twardowskiego O wielkanocnym poranku:

Poranek wielkanocny wszystko poprzemieniał,

nie ma więcej cmentarza, grobu i kamienia.

Świat stał się samym światłem i wprost w okna świeci,

skacze złotym zajączkiem w dobre ręce dzieci. [...]



Muzeum Ludowe w Sromowie



Muzeum Ludowe w Sromowie, fot. malby

Maria Wichowa

W odległości 10 km od Łowicza, jadąc w kierunku Warszawy, dostrzega się tablice informacyjne o Muzeum Ludowym w Sromowie. Można je zwiedzić planując jednodniową wycieczkę w okolicy Arkadii, Nieborowa oraz Żelazowej Woli. Jest to prywatne muzeum założone i prowadzone przez rodzinę Brzozowskich. Zawiera bogate zbiory sztuki ludowej z okolic Łowicza. Miejscowa ludność, łowiccy Księżacy wytworzyli oryginalną

kulturę własną, którą do dziś podtrzymują.

Sztuka ta, wywodząca się bezpośrednio z prostych, elementarnych praw kształcenia artystycznego, respektuje je uwzględniając lokalną tradycję. Sztuka ludowa jest i musi pozostać prymitywną, gdyż taki charakter mają dwa jej źródła: najprostsze zasady kształtowania dzieła artystycznego i prymitywizm potrzeb artystycznych odbiorcy. Prymitywizm w sztuce nie jest jednak zjawiskiem pejoratywnym, jest raczej określeniem kierunku dopiero powstającego, a więc jeszcze niezłożonego, występującego w swym elementarnym, prostym kształcie, świeżego w nowych wartościach. Jest to twórczość artystyczna powstająca żywiołowo, wypływająca z najbardziej pierwotnych potrzeb estetycznych człowieka, który nie ulegając żadnym wpływom „uczonych” teorii estetycznych, w sposób bezpośredni i instynktowny daje wyraz temu, co czuje on jako jednostka należąca do swego kręgu kulturowego.

Sztuka ludowa jest wspólnym dobrem i wytworem artystów i środowiska, a więc dostosowana do jego pojęć i potrzeb oraz wyposażona w system form, zasad kompozycji i innych czynników artystycznych w tym kręgu zrozumiałych i ogólnie dostępnych. Zaspokaja ona potrzeby estetyczne ludu, pełni więc rolę służebną, a jednocześnie obrazuje smak artystyczny i gust odbiorców z tego kręgu kulturowego. Nawiązuje do tradycji, szanuje ją, a jednocześnie przetwarza, zmienia i przeobraża

powodując, że kultura ludowa nie obumiera.

Dla sztuki ludowej bardzo ważny jest ścisły związek z życiem społeczności wiejskiej, z którą jest przecież złączona różnymi więzami. Ogromne znaczenie mają tu obyczaje, prastare tradycje obrzędowe przekazywane z pokolenia na pokolenie, co widoczne jest w strojach, w sprzętach, w budownictwie. Odbiorcy sztuki odgrywają ważną rolę w powstawaniu przeznaczonego dla nich dzieła. Wyroby artystów ludowych w przeważającej mierze mają charakter użytkowy, zaś ich działalność kreacyjna podbudowana jest bezinteresowną radością tworzenia dla siebie i dla otoczenia.



Muzeum Ludowe w Sromowie

Taką postawę prezentowali założyciele muzeum – Julian i Wanda Brzozowscy. Julian żył w latach 1925-2002. Gospodarował na 10 ha ziemi, a w wolnych chwilach rzeźbił w drewnie. Kultywował tradycję rodzinną, bowiem jego wuj Stanisław także był rzeźbiarzem, a matka Franciszka była znaną wycinaczkarką, hafciarką, robiła także słynne łowickie pająki – wiszące ozdoby sufitów. Julian rozpoczął swą działalność artystyczną w połowie lat pięćdziesiątych. Nie od razu tworzył rzeźby z myślą o powołaniu muzeum. Gromadził swe dzieła w mieszkaniu, z biegiem czasu musiał je umieszczać w garażu, wreszcie pobrał specjalne pawilony. Obecnie zbiory mieszczą się w czterech pawilonach.

Pierwszy z nich oddano dla zwiedzających w roku 1972. Umieszczono w nim ponad 400 rzeźb poukładanych w sceny rodzajowe. Tak więc wyeksponowano bożonarodzeniową szopkę, następnie procesję na Boże Ciało, wesele łowickie, jadących na rowerach itd. Większość tych figurek porusza się dzięki skonstruowanym przez Juliana mechanizmom. Pawilon ten ozdobiony jest kilkunastoma pajakami wykonanymi przez Wandę Brzozowską (1931-2003), żonę założyciela muzeum, artystkę ludową, wykonującą również wycinanki i kwiaty z bibuły.

Następne pokolenie Brzozowskich przejęło uzdolnienia artystyczne Juliana i Wandy. Córką – Maria Brzozowska-Kosińska współpracowała z rodzicami malując figurki i widoki wokół

ruchomych scen, a przez cały czas wykonuje wycinanki, charakterystyczne dla regionu, tzw. łowickie. Odznaczają się one wielobarwnym, malarskim charakterem oraz motywami i tematem. Rzadko pojawia się abstrakcyjny ornament, najczęściej występują różnokolorowe kwiaty i sceny z udziałem postaci. Kwiaty wypełniają zazwyczaj koliste „gwiazdy” i wstęgowe „tasiemki”, podczas gdy „ludziki” pojawiają się w paskowych „kodrach”, dawniej przedstawiających głównie wesele, współcześnie różne sceny z życia wsi.



W drodze na targ, Muzeum Ludowe w Sromowie, fot. malby

W zakresie rzeźby dzieło ojca kontynuuje Wojciech Brzozowski.

Wykonuje drewniane figury, zajmuje się konserwacją i naprawą poruszających się urządzeń, gromadzi i przywraca do pierwotnej postaci stare pojazdy konne, narzędzia rolnicze, pierwotne maszyny ręczne, np. sieczkarnie, młynki do oczyszczania ziarna itp. Jego żona zajmuje się wytwarzaniem ozdobnych pajaków, odnawia te, które kiedyś wykonała Wanda oraz robi nowe według własnej koncepcji.

Również trzecia z rodzeństwa Brzozowskich, Ewa Zarost, eksponuje swe prace w muzeum. Jest ona hafciarką, wystawia swe dzieła wykonane haftem krzyżykowym.

W drugim pawilonie Brzozowscy zgromadzili oryginalne stroje ludowe z okolic Łowicza, meble ludowe (skrzynie, kredensy), pająki, wycinanki, obrazy oraz eksponują ruchomą scenę – cztery pory roku. W pozostałych dwóch pawilonach pokazana jest kolekcja pojazdów konnych pochodzących z okolic Łowicza, w sumie 35 eksponatów, wśród nich wolanty, pojazdy czterokołowe na resorach, bez budy, używane jeszcze w I połowie XX wieku, bryczki, sanie i wozy chłopskie w różnych wariantach: drabiniaste, z krypą, półkoszki, wasągi. Zgromadzono także różne odmiany końskiej uprzęży, dawne urządzenia i maszyny rolnicze. Pawilony muzealne usytuowane są na tle zieleni, niezwykle pielęgnowanych rabat kwiatowych, obsianych starannie dobranymi, typowymi dla regionu odmianami.

Zbiory, gromadzone latami przez rodzinę artystów ludowych i zarazem miłośników sztuki i tradycji ludowej, stanowią świadectwo oryginalności kultury tzw. łowickich Księżaków, są ze wszech miar godne obejrzenia. Słusznie są powodem dumy założycieli muzeum i kontynuatorów ich dzieła.

Nieodgadnięte



NIEODGADNIĘTE

Nieodgadnięte stale nas pociąga.

Jego sekrety łudzą nas odkryciem

szczęśliwszą chwilą, w sprzyjającym czasie

w podatnym zaułku życia, egzystencji

niespodziewanej, w wymiarze istnienia

magicznego, upiornego bytowania.

Fantom to czy zatracenie, zagłada

dla śmiałków prących do plus ultra,

choćby złudzenia, że *non omnis moriar?*

OBUDZENIE

Kiedy się rano obudzisz
i w rodzącej się poświacie
zamajaczą pierwsze kształty
sprawdź swoją tożsamość,
Upewnij się, że jesteś
suwerennym bytem
jednostką integralną
autentycznym podmiotem
o świadomej egzystencji.
Dopiero potwierdzenie tych

witalnych kwerend

da ci glejt do fedrowania.

SWOJSKOŚĆ

Mój kanadyjski dom w ludnym Ontario

nabył z latami znamiona swojskości.

Z frontu przyjaźnie wita rosła lipa

a w tyle cieszy jarzębina z brzozą.

W okresie godów zabrzmiał kolędami

i imieniny obchodzi corocznie

nie poważane zupełnie w tych stronach.

Czerwony barszcz gości na jego stole

pojawia się opłatek i kraszanka.

Tylko brakuje na gnieździe bociana

a św. Florian nie strzeże od ognia.

TERAZ

Ginie nam nasze Teraz bezpowrotnie

w technologicznym rozgardiaszu.

Wprawdzie klną się zapaleni kamerzyści

że zachowali ciągi fotografii

szeregowanych w albumach

których nikt nie zechce oglądać.

Wspominaliśmy wczoraj,

mamy plan na jutro.

Tylko teraz nam przepadło

w gąszczu cyfryzacyjnych połączeń

zapodział się bliski sąsiad

zmarginesował żywy człowiek.

Nie sposób znaleźć dla niego

przestrzeni na rozmowę czy refleksję.

Uwikłani w cybernetycznej sieci

pilnie potrzebujemy lekarstwa

na zanik rzeczywistości.

PROCHY

Chciałbym, by moje prochy
powróciły do swoich,
spoczęły na gminnym cmentarzu
wśród braci i rodziców.
Błakałem się po świecie,
czas już się ustatkować
i ziemi rodzinnej powierzyć ostatki.
Nie będę sechł na amen
w wietrznym pawilonie,
ani stanowił piędzi golfowiska,
bo mnie nie znajdą w Zaduszki,
ci co o zmarłych jeszcze pamiętają,

by przyozdobić barwnymi lampkami.

